# ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Marca Nr. 12. Roku 1843.


## WIELKI TYDZIEŃ.

(Dokończenie.)

A N T O N I.

Uwięzienie naczelnika Indyjanów uradowało mieszkańców Karakas, a rzuciło przestrach pomiędzy Chamajsów i Murzynów; jedni rozbiegli się po lasach, drudzy po górach Cordylijerów.

W myślach zatopiony margrabia Olancho przechadzał się po przepysznych pokojach swojego pałacu, chmura smutku osiadła mu na czole, uroczysta cisza panowała do koła, gdy oto za jednym razem dał się słyszéć zgiełk na ulicy, a on przystąpiwszy mimowolnie ku oknu, ujrzał dziewczynę bieżącą z rozpuszczonym włosem, a za nią gromadę Murzynów.

»Zatrzymajcie ją!« wrzeszczeli Murzyni ścigając dziewczynę. »To córka Palmy-Amaru!« Na te słowa wydał margrabia krzyk boleści i pochyliwszy się upadł na krzesło. Nim jeszcze przyszedł do siebie, już u nóg jego leżała Gabryjela; blada, robiąc gwałtownie piersiami, objęła margrabiego kolana.

»Szlachetny, spaniałomyślny panie«, łkając błagało opuszczone dziécię. »Miéjcie litość nad moim nieszczęśliwym ojcem!«

»Tyżeś to Gabryjelo?« rzekł margrabia wzruszonym głosem, zlekka podnosząc klęczącą. »Powstań nieszczęśliwa, tu, przy téj piersi znajdziesz bezpieczne schronienie przed burzą życia. O, pójdź Gabryjelo w ramiona tego, który w dolinie *Caripe* był dla ciebie światem.«

»Wiesz już margrabio o losie mojego ojca. On był dla ciebie okrutnym, ale przebacz mu szlachetny panie; nieszczęśliwe dziécię błaga cię o to ze łzami, przebacz i nie daj mu ginąć haniebną śmiercią!«

»Gdybym był alkaldą z Karakas, dziś jeszcze skruszyłbym jego pęta, ale jakże zdołam kierować wyrokiem wysokiéj *audyjencyi?*«

»O, margrabio! W twoim ręku spoczywa śmierć lub życie!.... Ty kochasz siostrzenicę alkaldy, jedno słowo twoje, jedno spojrzenie zmiękczy serce Aurelii dla mojego ojca. Powiédz jéj, że Palma-Amaru, który teraz jęczy w kajdanach, nie targnął się na twoje życie, chociaż cię swoją nienawiścią ścigał. Powiédz jéj: Aurelijo, wstaw się za tym nieszczęśliwym do twego wuja, zaklinam cię na moję miłość!... Ona wszystko dla ciebie uczyni, bo miłość jest wszechmocna!«

»Sroga dziewczyno! Chcesz że abym rękę Aurelii utratą twojéj miłości okupił?«

»O biednéj Gabryjeli zapomina się łatwo w objęciu dostojnéj Aurelii. Moje szczęście już w grobie! Błagam cię tylko, — nie dozwól, aby mój ojciec okropną ginął śmiercią!«

»Jesteś w błędzie Gabryjelo, ja nie kocham Aurelii.«

»O biada mi! Więc mój ojciec umrzéć musi, a ty panie stajesz się wiaro-łomnym dla twojéj kochanki... Lecz nie, ty panie nie możesz temu świadkowi zadać kłamstwo.« To mówiąc podała mu list, a na jéj twarzy widna była boleść największa. »Źli ludzie skradli ci twoję tajemnicę, ja nie chcę jéj przy sobie zatrzymać.«

Margrabia stał jak piorunem rażony, trupia bladość okryła mu lice, wstyd i boleść rzuciły go na kolana przed Gabryjelą.

»Aniele cnoty!« zawołał błagającym głosem. »Możeszże mi przebaczyć? Czysta, niebiańska istoto, miéj litość nademną, obłudnym nędznikiem!«

»Gabryjela już ci dawno przebaczyła!« Łzy spłynęły po jagodach dziewczyny, którą margrabia do piersi miotanéj różnémi uczuciami gwałtownie przyciskał.

»Gabryjelo, nie opuszczaj mnie, tyś moją na wieki!«

»Panie margrabio, możeż teraz myślić o mojém szczęściu, kiedy krwawe rusztowanie stoi ciągle przed mojémi oczyma. Ty miałeś ojca i byłbyś chętnie poświęcił najdroższy klejnot twojego serca na okupienie życie jego. A teraz nie chcesz mojemu zbawczego podać ramienia?«

»Wydrę go ze szponów wysokiéj *audyjencyi*, jakiem margrabia Olancho!.... Powiédz mi Ga-

bryjelo, gdzie twoje mieszkanie? W tém mieście znajdziesz tu bezpieczne schronienie.«

»Nie pytaj o moje mieszkanie, ja moich lasów nie opuszczę, tam zimna skała więcej ma spółczucia, niż tu ludzkie twarze. Tu mnie ścigano urągając się z mojéj niedoli, jak gdyby piętno zbrodni gorzało na mojém czole! W twoje ręce margrabio składam całe szczęście mojego życia! Dotrzymaj święcie słowa twego! Znowu cię obaczę, abym łzami wdzięczności zrosiła rękę wybawcy mego. Bywaj zdrów margrabio!« — To rzekłszy, zniknęła.

Edward sam pozostał. Jak wichr ściera się z wichrem, podobna walka powstała w jego duszy. Rumieniec wstydu palił mu lice, że mógł zapomnieć o swojéj Gabryjeli. Czarowne ustronie *Caripe* stanęło mu żywo w pamięci, całą myślą utonął w złotéj przeszłości.

Drzwi się otwarły, Dawid stanął przed zamyślonym Edwardem. »Panie margrabio, mam ci ważnéj udzielić wiadomości. Nie jestem ja wrogiem białych, bo wy macie pochodnię mądrości. Przyszedłem dać ci skinienie, abyś nie ufał tym, których twarze nocą okryła natura. Zawierzaj memu słowu, bo ze mnie uczciwa dusza.«

»Kto źle mówi o swoich braciach, nie jest poczciwym człowiekiem«, rzekł margrabia.

»Możesz margrabio wątpić o mojéj rzetelności, bo mnie nie znasz jeszcze, ale przekonasz się, że mówię prawdę. Żyłeś przez sześć miesięcy w dolinie *Caripe*, tam poznałeś i pokochałeś dziéwczynę. I nie dziw, nie była szpetną. Ale ta miłość zakryła ci oczy, nie widziałeś zdrady, nie widziałeś, że inny....«

»Zamilcz zuchwalcze!« ofuknął margrabia.

»Chociażbym miał ściągnąć twój gniew na głowę moje, miłość bliźniego nakazuje mi otworzyć ci oczy. Jako, nie przypominasz sobie, że w jaskini *Guacharo* młody Indyjanin zbliżył się do Gabryjeli i pocieszał ją słodkiémi słowy? Głos jego lgnął do duszy twojéj kochanki, bo te same usta pocieszały Gabryjelę już od lat wielu słowami miłości. Wiészże panie margrabio, sama Gabryjela zawiadomiła nas o waszéj schadzce w jaskini *Guacharo*. Za wiedzą swojego ojca, zwabiła cię w to miejsce, aby raz na zawsze pozbyć się twoich natrętnych odwidzin. Czy pamiętasz, kiedy w nocy rwała Gabryjela *nisperos* dla gości? Tym gościem był Jago, jéj kochanek od serca.«

»O Boże! I Gabryjela mogłażby takiéj dopuścić się zdrady?« zawołał Edward przeszyty boleścią. »Więc aniołowie opuszczają już niebo i lecą w dno piekła! A przecież.... okropne światło powstaje w mojéj duszy.... Teraz przypominam sobie, widziałem tego nienawistnego mi Jago w domu alkaldy.«

»Tak jest panie margrabio. On był niewolnikiem u alkaldy i zbiegł od niego ujrzawszy znowu dawną kochankę Gabryjelę. Córka Palma-Amaru była niedawno u ciebie panie margrabio, powiedziałaż, gdzie mieszka?«

»Nie....«

»Widzisz, że Dawid jest poczciwym człowiekiem. Twojéj teraz potrzebuje pomocy, dla tego tu przyszła, ale ma tyle rozumu, że nie powié, gdzie mieszka, abyś ją nie spłoszył z objęcia pięknego Jaga.«

»Umiész rzemiosło szatana«, wrzasnął Edward, »ale pomnij, że okropna czeka cię męka, jeźliś bluźnierczym kłamał językiem.«

»Com powiedział, tego nie odwołam«, rzekł obojętnie Murzyn. »Każ ze mnie żywcem drzéć pasy, każ mię zakuć w żelazną klatkę, wystawić na żér drapieżnym ptakom, ja nie odwołam. Chcesz może margrabio być naocznym świadkiem, ja cię zaprowadzę do chaty twojéj obłudnéj kochanki. Jeźli wtedy powiész, że Dawid kłamie, rozrządzaj mojém życiem.«

»Twoje słowa brzmią w moich uszach, jak ujadanie psa rozdrażnionego. Nie wiém dla czego, ale jakaś tajemna moc pociąga mnie za tobą. Idź naprzód szatanie.« —

Ostatnie promienie słońca ozłacały wierzchołki góry Silly, cieniste lasy palmowe brzmiały tysiącznym chórem leśnych śpiéwaków. Na polach ryżowych uderzono w bębny na znak uwolnienia od roboty czarnych niewolników.

Na odłamie skały przy wejściu do palmowego lasu siedziała Gabryjela; na jéj twarzy widne były ślady boleśnych mąk duszy. Okiem łzawém spoczęła na dolinie Karakas, gdzie konające słońce zapowiadało ostatnią chwilę wszystkim nadziejom biédnéj Gabryjeli. — Przy niéj stał Jago posępny ze zwieszoną głową.

»Nie podawaj się rozpaczy Gabryjelo«, przemówił tenże. »Jeszcze nie wszystko stracone! Alkalda nie użyje na twego ojca całéj surowości ustaw, jego sumienie przygniata ciężka zbrodnia, on będzie umiał korzystać z téj sposobności, aby choć w części ulżył swojemu sumieniu... Gabryjelo, nie jestże nad rzéką *Rio-Temi* miejsce twego urodzenia, a twoja matka nie byłaż Hiszpanką?«

»Tak, dobry Jago, była Hiszpanką i wyznawała wiarę Chrystusa.«

»Nie nosiłaż twoja matka na piersi małego krzyżyka?«

»Przypominam sobie, że ten złoty krzyżyk był wysadzany iskrzącémi kamieniami.«

»Nie poznajesz go Gabryjelo?« To mówiąc, wskazał na mały krzyżyk, który z za-nadrza wydobył.«

»Tak, to on!« zawołała Gabryjela z radości. »O święty klejnocie mojéj nieszczęśliwéj matki! Powiédz Jago, jak się dostała w twe ręce ta droga puścizna po mojéj matce?« To mówiąc, okrywała pocałunkami świętą dla niéj relikwiję.

»I jam urodzon nad rzéką *Rio-Temi*, i ja miałem matkę Hiszpankę. Siostra moja nazywała się także Gabryjela. Jednego razu bawiłem się z nią na murawie. Zajęty zabawą, nie postrzegłem wyskakującego z lasu jaguara, który chylcem wysoką trawą ku nam się zbliżał. Aż za jednym razem moja mała siostryczka wydaje krzyk boleści, dziki jaguar porwał ją pazurami za ramię, a krew bryznęła strumieniem. Ja chwytam za odłamany konar drzewa i uderzam z całéj siły w drapieżne zwiérzę, które wyjąc ucieka do lasu. Moja siostra miała od téj chwili bliznę na ramieniu.«

»Tyżeśto Jago? O wszechmocny Boże! Tyś moim bratem!« To mówiąc rzuciła się mu na szyję.

»Gabryjelo, siostro moja!« zawołał Jago w uniesieniu, a łzy radości rzuciły mu się z oczu. »Ten krzyżyk dała mi konająca matka. Ach! wtedy byliśmy daleko od lubéj ojczyzny, biali powlekli nas do *Santa-Maria*. Dwanaście lat katuszy przepędziłem w usługach u mordercy naszéj kochanéj matki! Gabryjelo, ja spieszę do Karakas i uwolnię naszego ojca. Bywaj zdrowa, obaczymy się znowu, jeźli będzie taka wola boża.«

»Mój drogi bracio, jakieś złowrogie przeczucie mówi mi, że cię już więcéj nie obaczę!«

»Ufajmy temu, który nas po tyloletniem niewidzeniu się, znowu połączył!« Gabryjela odprowadziła brata aż na wzgórze, gdzie się droga na dwie strony rozbiegała. »Wróć do domu dobra Gabryjelo«, odrzekł Antoni. »Bóg mi nada siły, abym wytrwał w téj walce. Nim jeszcze wielki tydzień upłynie, dowiész się o losie naszego ojca.« —

»Niech cię Bóg prowadzi«, odrzekła dziewczyna, z zapłakanémi oczyma całując brata.

»Cóż margrabio?« syczał Murzyn z-za pobliskiego krzaka. »Czy Dawid nie jest poczciwym człowiekiem? Te całusy, te łzy, nie dowodząż, że...«

Po oddaleniu się Antoniego smutna Gabryjela udała się napowrót wądołem, gdzie jéj samotna stała chata. Nagle zaszedł jéj drogę margrabia i stanął przed nią jak duch mściciel.

»Gabryjelo, jesteś obłudnicą«, rzekł Edward ciskając na nią wzrokiem pogardy. Gabryjela nie poczuwając się do żadnéj winy, dumném okiem zmierzyła margrabię i znikła w cieniu pobliskiego gaju. —

Palma mając ciężkie na rękach i nogach kajdany, stał przed swoim sędzią Don Arcasem.

»Odpowiadaj«, rzecze opryskliwie alkalda, »jaki miałeś zamiar, kiedy ciebie i twoich spółwinowajców wojsko w lesie Pejoal pojmało?«

»Pomścić się hańby, którą wasi ojcowie okryli szlachetny naród Inkasów, to było hasło moich nieszczęśliwych braci. Ja inny jeszcze miałem zamiar: chciałem ugasić moję zemstę w twojéj krwi nędzniku, coś mi wydarł moję Anielę i mego syna!«

»Nie słucham żadnych wybiegów; odpowiadaj wprost na pytanie. Zaciągnąć wyznanie jego do protokułu. Nie wieszże, iż twoje zbrodnicze zamiary, śmiercią ukarać mogę? Strzeż się, abym za twoje *nisperos* nie musiał się niewdzięcznością odpłacić.«

»O, nie szydź z mojéj gościnności. Wiédz nędzniku, że twoje życie było wtedy w moim ręku, już ostrze żelaza było blizko twojéj zbrodniczéj piersi, ale wyższa siła wstrzymała rękę moję.«

»Co ja słyszę, skrytobójcze morderstwo? Zaciągnąć to do protokółu.«

»Palma-Amaru ma pomięszanie zmysłów!« wołał jakiś młodzian, przedzierając się przez tłumy straży. »On cierpi przystępy szaleństwa!« powtórzył stanąwszy przed alkaldą. »Nie macie prawa sądzić szalonego, sama ustawa uwalnia go od wszelkiego śledztwa.«

»Wszakżeto mój niewolnik Jago!« rzekł alkalda. »Ty chcesz grać rolę obrońcy? Czémże dowiedziesz, że twoje twierdzenie jest prawdziwe?«

»Mojém życiem, prowadźcie mnie na rusztowanie, a ja powtarzać będę: że Palma jest szalonym.«

»Jestżeś gotów na wszelkie męki?«

»Jestem gotów, i będę nieustannie powtarzać: że Palma-Amaru ma pomięszanie zmysłów.«

»Przynieść rozpaloną żelazną płytę«, rozkazał alkalda z tryjumfującym uśmiéchem. Dwaj służalce wynieśli żelaznémi obcęgami rozpaloną blachę. — »Poświéćcie mu przed oczyma tą rozpaloną płytą. Ciekawym bardzo, czy ma tyle odwagi w sercu, ile zuchwałości w uściech.«

Płatni służalce wypełnili rozkaz swojego pana. Po pięciu minutach najokropniejszéj męczarni, rzekł Antoni spokojnym głosem. »Ciemno mi w oczach, już nic nie widzę!«

»Odjąć płytę«, rozkazał alkalda. »Odprowadzić ciemnego szaleńca do więzienia; skoro wielki tydzień upłynie, niech miecz sprawiedliwości rozstrzyga o jego życiu.« — Gdy Antoniego odprowadzono, rzekł alkalda do ponurego Palma-Amaru: »Wiédz zapamiętalcze, ten ciemny jest twoim synem Antonim.«

Rykiem postrzelonego lwa zadrżała sala sądowa. Palma pieniąc się z wściekłości, zatrząsł okropnie kajdanami.

Don Arcas przechadzał się spokojnie, smażąc mózg swój, jakiémi sadowémi wykrętami splatać nieszczęśliwego więźnia.

## WIELKI CZWARTEK.

»Niewolnik poświęcił się dla niéj!« mówił margrabia do siebie, dowiedziawszy się o szlachetnym czynie Jago. »On, zrodzony w niewoli, przytłoczony jéj ciężarem, poświęcił dla Gabryjeli światło swoich oczu. Jaż mam zrywać święte związki dla tego, że niewolnik poważył się kochać przedmiot mojéj miłości? Mamże złorzeczyć słońcu, że tysiące tworów żyją jego cudownym blaskiem? Lub mamże podeptać różę, że cały świat jéj piękność podziwia? Precz odemnie ohydne samolubstwo! Gabryjela w niedoli, a ja mam zamykać przed nią rękę pomocy? Biada temu nędznikowi, co na głos nieszczęścia, na własną ogląda się korzyść i odciąga pomocną rękę. Może Gabryjela zbłądziła, wszakże i Seraf Abadonna zaczarowany powabem grzéchu, runął w dno piekła.« Wkrótce potém opuścił swój pałac, udając się do pokojów alkaldy, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy obok pięknéj Kreolki ujrzał młodego oficera.

»Zapewne pomyliłeś się margrabio«, rzekła Aurelija z dumą. »Jeżli pragniesz mówić z moim wujem, racz się udać do sądowéj sali. Jak widzę, piękna Indyjanka zaczarowała cię swojémi wdziękami. Przebacz margrabio, musimy się spieszyć, w téj chwili odjeżdżam z kapitanem Merville do Vega, tam przepędzimy wielkanocne święta. Dawidzie«, odchodząc rzekła do Murzyna, który właśnie wszedł z pobocznego pokoju, »oświadczysz mojemu wujowi, że go oczekuję w Vega. Bywaj zdrów margrabio, nie daj tęskuić za sobą pięknéj Indyjance.« Z szyderskim uśmiéchem wyszła z pokoju, opiérając się na ręku kapitana.—Margrabia nie mógł przez długą chwilę przyjść do siebie, bladość okryła mu lice, pot kroplisty wystąpił na czoło. Lecz po chwili duma odzyskała swoje prawo, z dzikim śmiéchem szyderstwa wyleciał z pałacu alkaldy.—

Pobożni mieszkańcy z Karakas licznémi tłumy napływali do bożych domów, aby wraz z kapłanem rozpamiętywać o męce pańskiéj. Margrabia przelatując ulice, wbiegł w podwoje katedry, gdzie się rozlégał poważny głos organu, towarzyszący nabożnym śpiewom Chrześcijan.

Któż się nie ucieka do kojnéj ostoi wiary, kiedy burzliwe fale żywota rzuciły nim na mieliznę zwątpienia lub rozpaczy! Kto nie słucha rado tych niebiańskich dźwięków, które budzą wspomnienie rajskich dni wiośnianych, gdzie żadna chmurka nie zasępia czoła! Kiedy żelazna ręka nieszczęścia dotknie mędrkującego niedowiarka, kiedy cały świat głuchy na jego krzyk rozpaczy, wtedy ucieka się pod opiekuńcze skrzydła wiary, która leje pociechę w serce wdowie nieszczęśliwego!

Edward burzą uczuć miotany, szukał także w domu bożym ulgi i pociechy. Jakiś błogi pokój wstąpił do jego duszy. Poszedłszy w głąb kościoła, ujrzał klęczącą u stóp ołtarza nadobną postać kobiécą, któréj dusza zatonęła w modlitwie. Byłato Gabryjela. Zimna dreszcz wstrzęsła Edwardem, a łzą oko zapłynęło. Głos wewnętrzny mówił mu: że tak spokojnéj twarzy nie ma obłuda. Ona się modli do Boga za swoim ojcem, bo tu na ziemi nikt mu nie chce podać pomocnéj dłoni. Zdawało mu się, że sklepienie kościoła załamie się nad jego bluźniercza głową. Wyleciał więc szybko z kościoła z silném postanowieniem ratować ojca Gabryjeli.

Gdy wszedł do sądowéj sali, rzekł mu odzwierny, że alkalda właśnie co wrócił do swego pałacu.

Margrabia idzie długim korytarzem poprzed cele więźniów. Z bolesnym smutkiem patrzy na żelazne drzwi, o które się odbija brzęk kajdan. Czwarta bije na wieży. I oto — naraz okropnie zadrżała ziemia i straszliwym podziemnym stęknęła grzmotem! Jak z skwarnego nieba Ameryki bije piorun po piorunie, tak jeden wstrząs idzie po drugim gwałtownie! Ziemia chwieje się, jakby wełn morski wygina się i kipi pod stopami! Cały budynek zatrząsł się potężnie — złamał się straszliwie w swoich węgłach i z okropnym, zagłusznym hukiem runął z łomotem w zwalisko, zagrzebując wszystko co żyło! Pod tą ruiną legł i margrabia!

Na dniu 12go marca 1812 r. po raz ostatni zaświéciło słońce miastu Karakas! Byłto dzień bardzo parny, powietrze spokojne, niebo bezchmurne. Pobożni mieszkańcy zwidzając w dniu tym kościoły, ani przeczuwali, że ich tak blizka, tak okropna, tak straszliwa czeka chwila! Naraz po wszystkich wieżach ozwały się dzwony! Niebyłato ręka ludzka, która je do pogrzebowego jęku poruszała! Po straszliwym podziemnym grzmocie, nastąpiło raz po raz potężne uderzenie, które idąc prostopadle, zdawało się jakby z samych wnętrzności ziemi w górę parło. W téj że saméj chwili drugie uderzenie idąc poziomym kierunkiem, łamało ziemię w ruchliwe, potoczyste garby. To skrzyżowanie się podziemnych z hukiem tysiąca gromów połączonych wichrów, całe niemal miasto położyło wywrotem, uściéliwszy dziesięciu tysiącom mieszkańców grób okropny. Sklepienia kościołów zwaliły się na głowy pobożnych Chrześcijan, rozdymając w strop tumany kurzu jak dym ofiarny. Kościół świętéj Trójcy, i *Alla Gratia*, na sto piędździesiąt stóp

wysokie, których nawa na olbrzymich słupach, mających dwanaście do piętnaście stóp grubości spoczywała, zasypały się w rumowisko na pięć do sześć stóp wysoko. Koszary San Carlos legły gruzem zdruzgotawszy szereg żołnierzy, którzy stojąc w podwórcu pod bronią, mieli właśnie wyciągnąć na procesyję. Dziewięć dziesiątych części miasta stanęło okropna ruiną. Domy, gdzie niegdzie pozostałe, porozpękane lub przechylone, groziły co chwila zwaliskiem. Tylko w części zachodniéj i południowéj miasta nie srożyło się trzęsienie z tak okropną mocą, a kościół katedralny wznosił jak dawniéj swe niebotyczne wieże. Gęsty tuman kurzu nito płachta gęstéj mgły nad oparzeliskiem, zawisł nad miastem. Z nadejściem nocy zaczęła mgła kurzu opadać, a niebo było znów pogodne i ciche jak dawniéj. Jasny księżyc w pełni, zléwał światło na scenę zgrozy i rozpaczy. Któż opisze to okropne widowisko! Rozdzierające jęki szły w pogodne niebo. Tu matka po utracie dziatek, bije o mur głową, tam ojciec załamując ręce stoi na stosie gruzu, który mu syna pochłonął, tu kochanek klęczy przy trupie najdroższéj mu istoty i osłupiałym wzrokiem wyzywa niebo, skarżąc: »Czy tam już nie ma piorunu na głowę moją!« Z pod rumowiska daje się tu i ówdzie dosłyszéć jęk pomocy wzywający. Odważniejsi wdzierają się w ruiny domów nieść ratunek zagrzebanym. W braku narzędzi grzebią rękoma i odwalają swojém ciałem złomy zwalisk. Zniszczone wodociągi, zasypane źródliska. Pomiędzy stosami gruzów wznoszą się zgliszcza, w które trupów rzucają, gdy tyle tysięcy pogrzebać w ziemi jest niepodobieństwem. Reszta przy życiu pozostałych, śpiéwając hymn żałobny idzie procesyją dla przebłagania gniewu bożego. Wielu z przestrachu straciwszy zmysły, klęczy na ulicy i spowiada się z swoich grzéchów. Wielu zaciętych między sobą wrogów jedna się i łączy przyjazne dłonie, zapominając o krzywdzie i urazie.—

Skoro się w Stanach Zjednoczonych Ameryki dowiedziano o ciężkiéj klęsce, która padła na miasto Karakas, uchwalono jednogłośnie na kongresie w Washingtonie, aby posłać na wybrzeże Venezueli pięć okrętów naładowanych mąką i wszelką inną żywnością. Gdy statki przybiły do lądu, wzniesiono z rozrzewnieniem na gruzach miasta dziękczynne *Te Deum*.

Dnia 27go marca dało się uczuć kilka jeszcze silnych wstrząśnień, podczas których olbrzymie skał bryły oderwawszy się od góry Silly, stoczyły się w dół z straszliwym grzmotem. Tam, gdzie stało więzienie, sterczały z gruzów gdzie niegdzie ogromne sklepień obłęki. Trupy leżały w około. Na zwaliskach widać było atletyczną postać, która wydobywszy się z pod łomów, olbrzymią siłą odwalając kamienie i belki, rozsuwała rumowisko. Niedaleko od niéj leżały zerwane kajdany. Naraz ozwało się z pod gruzów przytłumione stękanie; ramię atlety zaczęło dziką siłą uprzątać zapory, i wydobyło z grobu żyjącą istotę!

»O Boże, gdzież jestem?.... Gdzie są kościoły i pałace naszego miasta? Nie widzę nic przed sobą, jak tylko obszar zasłany kamieniami.... O, wszechmocny Boże! Palma-Amaru? Tyżeś moim wybawcą?«

»Wielki duch nawiedził okropną klęską grzeszne człowieczeństwo, kajdany z moich rąk opadły, zapory mego więzienia pękły, abym ratował nieszczęśliwych przysypanych gruzami.«

»O, Palmo, przebacz grzésznemu, bądź moim przyjacielem«, błagał Edward. »Kiedy duch wielki swój gniéw wywiéra, wtedy serca śmiertelnych, powinny bić jednością i zgodą braterską.« To mówiąc, podał mu rękę, i serdecznem uściśnieniem uświęcili obadwaj chwilę pojednania.

»Palmo, mój przyjacielu, gdzież jest Gabryjela?« zapytał Edward z wielką trwogą.

»Spojrzyj! Tam ona przy trupie swojego brata!« odrzekł Palma ciężkim, grobowym głosem.

»Co mówisz, brata swojego?« zawołał Edward, biegnąc ku Gabryjeli. Spojrzał na trupa leżącego u nóg dziéwczyny, i w martwych rysach poznał nieszczęśliwego niewolnika alkaldy. Na ten widok upadając do nóg Gabryjeli, wykrzyknął boleśnie: »On twoim bratem, a ja śmiałem cię posądzać!« — Przyszedłszy do siebie, uczuł rękę Gabryjeli, która mu ranę obwiązywała.

»Krew płynęła z twojéj rany margrabio«, rzekła rozczulonym głosem. »Teraz już ustała!«

Margrabia spuścił głowę w milczeniu, nie śmiał podnieść oczu, strumień łez potoczył się po bladych jagodach jego.

»Bądź dobréj myśli«, rzekła Gabryjela pocieszającym głosem. »Widzisz, że ręka Opatrzności czuwała nad naszém życiem.«

»Aniele zbawienia, możeszże mi przebaczyć?« żebrał margrabia.

»O Boże, cóżem takiego uczyniła, że o mnie tak źle sądzisz margrabio?«

»Pójdźmy moja córko do naszéj doliny *Caripe*, tam złożę do snu wiecznego moję skołataną głowę«, rzekł Palma opuszczając zwaliska.

»Żegnam cię margrabio!« mdlejącym głosem rzekła dziéwczyna.

»Gabryjelo, chceszże mnie opuścić?« zawołał margrabia na pół martwym głosem.

»Bywaj zdrów Edwardzie!« W srogi rozstanek pożegnała go ostatniém spojrzeniem, a Edward przycisnął gwałtownie do ust rękę Gabryjeli.

Palma udał się z swoją córką przez *Placa-major,* gdzie ziemi trzęsienie największą zgubę wywarło. Ulica niedawno zaludniona, zamieniła się w pustkowie. Ponura cisza panowała dokoła. Gdy szli pomiędzy mogiły zwalonych domów, naraz dał się słyszéć rozpaczliwy krzyk wzywający ratunku. Oparty nogą o gzyms u jednéj ściany muru, który się ostał przed zniszczeniem, wisiał w powietrzu człowiek, trzymający się obiema rękami wychylonego belka. Byłto Don Areas.

Palma-Amaru podniosłszy w górę oczy i ujrzawszy nienawistnego sobie wroga, rozbudził w swéj piersi uspioną gadzinę zemsty i zaśmiawszy się szatańsko, zawołał: »A tyśto nędzniku! I ty miałbyś njść strasznemu sądowi bożemu? Ty, morderca mojéj żony i syna mego? Twoja godzina wybiła!« To rzekłszy, pieniąc się od złości, wyrywa się z rąk córki i wdziéra się po zwaliskach na szczyt muru. Na widok Indyjana wydał Areas przeraźliwy wrzask przestrachu. Już żarzące się oczy Palmy spotkały się z osłupiałym wzrokiem alkaldy, już go Indyjanin palił ziejącym oddechem, już wpił się ręką w barki nienawistnego wroga, gdy oto grzmot podziemny wstrząsł ziemią, ruiny gmachu zadrżały, a spadająca z łoskotem ściana, nakryła śmiercią obu razem zapaśników, a nad ich głowami gęstą pyłu zawiesiła chmurę!

Margrabia postępuje krok w krok za Gabryjela, a gdy dziéwczyna na widok téj zgrozy pada zemdlona o ziemię, unosi ją z sobą silném miłości ramieniem. W jego objęciu odzyskuje córka Palmy zmysły, a widząc się samą, opuszczoną na świecie, rzuca się w ramiona miłości. Opodal od uszczęśliwionéj pary, leżał szkaradnie zeszpecony trup Dawida.

Kochankowie udali się w dolinę *Caripe,* gdzie długie, swobodne przepędzili lata.

---

## Wspomnienia wojskowe.

### XI.

Jeszcze opiszę przygodę smutną młodego żołniérza prostego, o którym nikt dotąd nie wspomniał, bo prosty żołniérz ginąc na wojnie, zostawia zwykle po sobie tylko żal swych towarzyszów broni i cichą łzę stroskanéj rodziny.

Z początkiem roku 1812, kiedy po odbytych kilku wojennych wyprawach, pułk ułanów gwardyi maszerował na kampaniją rossyjską, w przechodzie przez księztwo warszawskie, zgłaszało się wiele młodzieży do dowódzcy pułku z życzeniem, ażeby im pozwolił stawać w szeregach, które w poprzedniczych wojennych zdarzeniach tak świetną chwałą okryły swoje sztandary.

Z kilku innémi w okolicy Kutna przyjechał ośmnasto-letni młodzieniec nazwiskiem Trzciński. Byłto syn szanownych w obywatelstwie rodziców, nadobnéj urody z wykształconym nad swój wiek umysłem, lecz siły jego fizyczne nie były jeszcze dostatecznie rozwinięte, ażeby mógł dzielić trudy cięższéj wyprawy.

Dla tego kiedy go stryj (który był kapitanem w tym pułku) przedstawiał dowódzcy, ten patrząc na niego rzekł: »Życzenia twoje są chwalebne, ale dłoń twoja nie potrafi podobno silnie uderzyć lancą.«

Gdy jednak prośby jego były usilne, za wstawieniem się stryja w kilku dniach z wielką radością włożywszy mundur, maszerował z pułkiem polskich ułanów gwardyi na kampaniją rossyjską, otrzymawszy przy pożegnaniu czułe błogosławieństwo rodziców.

W krótkim czasie sztandary rozmaitych narodów po ogłoszeniu wojny nad Niemnem, zajęły Kowno; tam Cesarz Francuzów objeżdżając położenie miasta, stanął nad brzegami Wilii; prąd téj rzéki po ulewnym deszczu był silny i wody jéj wezbrane okryte pianą.

Z drugiéj strony dociérały hufce Kozaków, strzélając z janczarek; to niecierpliwiło Cesarza tém bardziéj, że w tém miejscu dla zabezpieczenia lewego skrzydła wielkiéj armii, rozkazał rzucić pontony.

Zwróciwszy się więc do dowódzcy pułku gwardyi ułanów polskich, rzekł: »Czy możecie przejść wpław te wody?« — »Tak jest Cesarzu«, odrzekł dowódzca i w jednéj chwili piérwszy szwadron wzniosłszy lance w górę, przy haśle: »Niech żyje Cesarz!« rzucił się w spienione nurty téj rzéki.

Patrzał Cesarz z zadziwieniem na bohatérskie poświęcenie się polskich rycerzy. — Patrzał, jak z całym rynsztunkiem ginęli pod wodą i znów na powierzchni się pokazywali, jak walcząc z śmiercią jedni drugim dłoń bratnią podawali, jak nawet grenadyjery gwardyi zrzucając z siebie mundury, biegli tonących ratować Polaków.

Leci już szwadron przy radosnych odgłosach żołniérzy francuzkich, ukazał się na drugim brzegu, a Kozaki w dalekie cofnęli się pola — wtenczas Cesarz odjeżdżając do swojéj kwatéry, wyrzekł te słowa: »Zawsze waleczni.«

Mimo tak szczęśliwéj przeprawy, nurty wezbranéj rzéki pochłonęły trzech żołniérzy, a między témi młodego Trzcińskiego; widzieli go koledzy, jak dwa razy ukazał się nad wodą, lecz trzeci raz już tylko koń jego zmęczony wypłynął na brzég téj rzéki. Strata młodzieńca pełnego

nadziei, zasmuciła pułk cały, bo w tak krótkim czasie umiał pozyskać miłość kolegów i przełożonych. — Tak to przeznaczenie żołniérza jest nieodgadnione, kiedy bowiem wielu z jego towarzyszów broni, przechodząc szczęśliwie krwawe przygody, tylokrotnie przy odgłosie bębnów, dział i ręcznej broni, głosili hasło zwycięztw i chwały: »Niech żyje Cesarz!« On, hasło raz tylko powtórzył i z niém pierś jego młoda na wieki zastygła! *S. H.....*

## Tęsknota.

Gdy mi się zdarzy złotéj dotknąć strony,
Jedynéj mojéj powiernicy, lutni,
Wskrzeszona piosnka tęskne roni tony,
Ciągle za bracmi i za krajem smutni.

O, uleć piosnko za Krępaku skronie
Na wartkich skrzydłach stęsknionéj miłości,
Na lubém siostry, drogiém brata łonie
Upieść się chwilę westchnieniem radości!

A może właśnie o téj saméj chwili,
Kiedy ty z wdowiéj piersi ulatujesz,
I oni równie po mnie zatęsknili,
Ach, to wpół drogi ich myśli zcałujesz!

Jeźli spoczęli po dniowém strudzeniu,
Owiń ich duszę, na ustach zawiśnij!
I w jakim smętnym sennych marzeń cieniu
Tęsknotę brata za niemi im przyśnij!

W drodze nie omiń żadnéj lubéj chatki,
Gdzie mi przyjaźni biło kiedy serce,
A rozbitéj nuty unosząc ostatki,
Na grobie lubéj, odbłyśnij w iskierce!

O, uleć piosnko za Krępaku skronie
Na wartkich skrzydłach stęsknionéj miłości,
Na lubém siostry, drogiém brata łonie
Upieść się chwilę westchnieniem radości! —
*Wiedeń r. 1841.* *Pok...—*

### ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 12. i obejmuje: 1) O uprawie rzepaku. (Ciąg dalszy). 2) Sposób przyrządzenia nawozu ze słomy bez inwentarza. 3) O ospie owczéj i lékarstwie na tę zarazę. 4) Wezwanie pana Pohl, aby raczył udzielić dokładniejszego opisu swego sposobu łatwego otrzymania od razu cegieł suchych, w »Ziemianinie« pana Kurowskiego zamieszczonego. 5) Nieco o handlu bydłem opasném. 6) Wiadomości czasowe: O pożarach pochodzących z samo przez się zapalających się różnych przedmiotów.

*Dziennika mód paryskich,* wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 7. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Pogadanka z panem cześnikiem, przez A. Gorczyńskiego. (Dokończenie). 2) Godność niewiast, z Szylera, przez A. Gorczyńskiego. 3) Husejn basza w Neapolu, przez Żegotę Pauli. 4) Uwiadomienie.

Nakładem tutejszego księgarza Kajetana Jabłońskiego wyszły: *Silva rerum Jadami,* prozą, i *Opowieści i Legendy,* wierszem, znakomitego powieściarza naszego Adama Gorczyńskiego. Wydanie nader ozdobne nie pozostawia nic do życzenia.

Nakładem Jana Milikowskiego wyszły: *Rozmowy łatwe (w języku polskim, francuzkim i niemieckim) zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien,* dla użytku szkół panieńskich, przez M. J. Frings, nauczyciela francuzkiego w Berlinie; przełożył na język Jan Julijan Szczepański. Drugie poprawne wydanie w 8ce str. 192. — Pożyteczne to dziełko, podobnie jak inne w ogóle nakłady pana Milikowskiego, zaleca się rzadką u nas poprawnością i ozdobnością druku.

W wychodzącym w Berlinie: *Magazin für die Literatur des Auslandes* (Nro. 12) czytamy. »Roczniki sławiańskie. Roczniki dla literatury, kunsztu i nauk sławiańskich tak są obfite i tyle obejmujące, że dotychczas żadne przedsięwzięcie literackie, Europy zachodniéj z charakterem i umysłowym postępem Sławian tyle nie obznajmiło. Wymaga tego też interes Niemców, żeby podobne usiłowania spierali, bo przeciwnikowi albo spółzawodnikowi wtenczas tylko podołać można, kiedy go się pozna, nie zaś zarozumiale i z pogardą na życie jego duchowe spoglada. Cechą główną Roczników tych jest, że nie podług różnych sławiańskich państw i szczepów oddziały swe tworzą, lecz podług ogólnych i naukowych materyi na przemian o Rossyi i Serbii, Polszcze i Illiryi, Węgrzech i Bulgaryi traktują. Poszyt nowy obejmuje oprócz programatu następujące artykuły: I. *Pisownia imion i słów sławiańskich.* II. *Nauki.* *a)* Szafarzyka Starożytności sławiańskie. *b)* Liudewit Gaj i Illirismus. *c)* Historyk polski Łukaszewicz. *d)* Boże Narodzenie u Rossyjan, podług Sacharowa. III. *Sztuki piękne.* *a)* Rossyjski teatr w Petersburgu *b)* Scena czeska w Pradze. *c)* Nowy teatr we Lwowie. *d)* Wiadomość o sztuce. IV. *Przemysł.* *a)* Literatura procederowa w Czechach. *b)* Nauki agronomiczne w Rossyi. V. *Literatura i Krytyka.* *a)* Puszkin, przez Mickiewicza. *b)* Obecny kierunek literatury rossyjskiej, przez Szewirjewa. *c)* Literatura narodowa w Poznańskiém. *d)* Krytyki o Kastorskiego Mitologii, Hanusza Micie sławiańskim, Mickiewicza dwuletnim kursie literatury sławiańskiéj w *College de France* i t. d. VI. *Bibilijografija i przeglądy pism czasowych.* VII. *Rozmaitości i Korespondencyje.* — Między temi jest też pismo z Wrocławia, w którém w imieniu Sławian Górnoszląskich protestują przeciw temu, że ich za Niemców poczytują. — Wyrażono tam: »Naprzeciw nam stoi tu mocne stronnictwo germańskie, usiłujące opiniją publiczną dla siebie pozyskać i okrzykujące Szlązk za kraj czysto niemiecki, a nawet tak daleko się posuwające, że język polski w naszéj prowincyi zepsutém narzeczém być mieni, znienawidzoném nawet od samych Polaków; tak, iż narodowość polską w Szlązku za zgasłą już poczytywać wypada.« Korespondent zaś przeciwnie twierdzi, »że Górni Szlązacy są i zostaną Polakami.« Na co jednak Roczniki zgodzić się nie chcą, chociaż wynurzają życzenie, żeby rząd podobnie jak w Poznańskiem tak i w Górnym Szlązku dla nauki i nabożeństwa dobroczynne instytucyje zaprowadzi.« *(G. P.)*

Krawiec polski w Kairze. Władysław Wężyk wspomina w drugiéj części swych podróży po starożytnym świecie (str. 57), iż r. 1840 znalazł w Egipcie majstra krawieckiego Polaka. Zwał on się Michał Męczkowski, był rodem z Podlasia i służył dawniéj wojskowo. W Kairze już od lat kilkunastu prowadził swoje rzemiosło i miał nawet swój sklepik oddzielny. Jako osobliwość posiadał tamże dwa dzieła w języku polskim: Życie Jana Zamojskiego i Historyją Naruszewicza.

Arszenik. Wielu lekarzy w Paryżu zaleca, aby dla zapobieżenia otruciu farbowano arszenik, tak, aby już z samego koloru zatrutéj potrawy lub płynu arszenik poznać można. Drudzy zaś są tego zdania, aby arszenik z taką łączyć przymieszką, któraby potrawom lub napojom odrażającego nadawała smaku. I w samej istocie ostrożność taka zapobiegłaby wielu nieszczęściom.

Londyn ma obecnie 15 teatrów, i tak, dwa uprzywilejowane: Drury-Lane i Kovent-Garden, następnie Haymarket, Princes (Opery i krotochwile), Dom opery angielskiéj (Opery i krotochwile), Adelphi (Dramy i krotochwile), Strand (Krotochwile), Olimpic (Krotochwile), Queens (Krotochwile), City of London (Melodramy), Garrik (Melodramy), Sadlers Wells (Melodramy), Astleys (Melodramy i widowiska sztuk końskich), Surrey (Melodramy) i teatr Wiktoryja (Melodramy). Ztąd widać, że publiczność londyńska w spektaklach i krotochwilach ma upodobanie. We wszystkich powyższych teatrach grają aktorowie w języku angielskim; dla opery włoskiéj jest osobny teatr, największy w całym Londynie na targowicy siana (*Haymarket*).

Bogactwo i zbytek w Mexiko. Pani Calderon de la Barca w opisach podróży swojéj po Mexyku, mówi między innémi: że hrabia Regla właściciel sławnych kopalni, kazał na obrzęd chrztu swojego syna drogę od swego pałacu do kościoła wyłożyć sztabami śrébrnemi. Małżonka hrabiego posłała wice-królowéj, z którą się była poróżniła, na znak pojednania białe atłasowe rękawiczki, całe okryte wielkiémi dyjamentami. Hrabia zaprosił raz króla Hiszpanii, aby zwidził jego posiadłości, zapewniając go, że koń królewski od Veracruz aż do stolicy Mexyku nie dotknie się ziemi i będzie po samém bitém srebrze stąpał. Niemniéj bogactwa hrabiego dowodem było to, że dwa wielkie okręty linijowe swoim kosztem z drzewa mahoniowego i cedrowego wybudować kazał, a we wszystko je zaopatrzywszy, królowi darował. — Taż sama autorka pisze o drugimże bogaczu mexykańskim, nie wymieniając jego nazwiska. Drugi Krezus ten jedzie zwykle na przejazdkę trzema powozami, w piérwszym siedzi sam bogacz z swoją żoną, powóz ten wybity czerwonym aksamitem, lśni się od złota. W drugim równie wytwornym powozie, jadą dzieci bogacza, a w trzecim mamka z małém dziecięciem. Służba ma szkarłatną liberyją naszywaną obficie złotem. Przy piérwszym powozie jedzie marszałek domu w bogatym, szytym w misterne hafty stroju mexykańskim. Strzemiona są z szczerego śrébra, a w główce spicruty osadzony duży dyjament. Siodło kosztuje 5,000 dolarów, jest całkiem wybite aksamitem i haftowane złotem. — Drugi przykład wielkiego bogactwa dali bracia Szek, w Indyjach Wschodnich. Ich majątek wynosił 400 milijonów, utrzymywali ciągle czterdzieści do pięćdziesiąt okrętów na morzu, i mieli we wszystkich krajach nieograniczony kredyt. Cesarz Aureng-Zeb, odwiedził raz przełożonego tego domu, który z tego powodu ucztę mu wyprawił. Po skończonym obiedzie prosił kupiec monarchy, aby przyjął w podarunku duże spaniałe krzesło, na którém tenże przy stole siedział. Krzesło to było tak ciężkie, że je trzydziestu niewolników zaledwie podźwignąć mogło. Gdy je Cesarz późniéj kazał na części rozebrać, znalazł w niém mnóstwo kies ustawionych jednę przy drugiéj, w których się dwadzieścia pięć milijonów w złocie znajdowało.

Bale na dworze greckim. Młoda królowa nie brała wychowania w Paryżu, a przecież swojém uprzejmém zachowaniem się zniewala każdego. Jest najodważniejszą i niezmordowaną w jeżdżeniu na koniu, powabną w tańcu, dostojną na tronie. Żadna z dam jéj dworu nie oddaje się z tak miłym wdziękiem rozkoszy tańca; etykieta, która na podobnych balach dworu ściśle zachowana bywa, nie sprawia jéj najmniejszéj przykrości. O godzinie dziewiątéj zgromadzają się zaproszeni w sali balowéj; o pół do 10téj wchodzi król i królowa z całym dworem. Wszyscy przytomni panowie i panie, nie śmią usiąść, co trwa zwykle pół godziny. Poczém król podaje rękę jednéj z dam, a królowa jednemu z członków dyplomatycznych, i tak całe zgromadzenie idąc za nimi, obchodzi wkoło salę; poczem król znowu obiéra inną damę, a królowa innego mężczyznę, i tak idzie daléj, dopokąd wszyscy posłowie i inne osoby, których król i królowa chcą wyszczególnić, oprowadzonémi nie będą. Poczém zaczyna się walec. Dopóki królowa tańczy, wolno innym damom, które nie tańcują siedzieć, skoro zaś tańczyć przestaje i po sali się przechadza, muszą stać. Dwa krzesła ustawiają zwykle na przedzie dla króla i królowéj, damy mają swe miejsca za temiż. Około 3ciéj lub 4téj godziny, gdy się oznaczony porządek tańców już ukończy, wstają wszyscy, a król i królowa czynią znowu półgodzinny obchód, od którego żaden z obecnych uchylić się nie może. Natenczas król i królowa pożegnawszy gości odchodzą, a za nimi całe zgromadzenie.

Dyjalog miedzy Alcuinem i jego uczniem Pipinem, wyjęty z *St. Prest's Assays on the midle ages*. Pipin: »Co jest niebo?« — Alcuin: »Poruszająca się sfera — niezmierzone sklepienie.« — P. »Co jest światło?« — A. »Objaśnienie wszystkich rzeczy.« — P. »Co jest dzień?« — A. »Wezwanie do roboty.« — P. »Co jest słońce?« — A. »Świetność wsze-świecia, piękność firmamentu, ozdoba natury, spaniałość nieba, ustanowiciel godzin.« — P. »Co jest ziemia?« — A. »Matka wszelkiego bytu, żywicielka wszystkich istot, spiżarnia życia, przepaść, która wszystko pochłonąć musi.« — P. »Co jest morze?« — A. »Droga odważnego, granica ziemi, ojczyzna rzék, zródło deszczu.« — P. »Co jest zima?« — A. »Wygnanie lata.« — P. »Co jest wiosna?« — A. »Malarz ziemi.« — P. »Co jest lato?« — A. »Moc, która stroi pola, owoce wygrzewa.« — P. »Co jest jesień?« — A. »Szpichlerz roku. — P. »Co jest rok?« — A. »Czworo-sprzężny powóz świata.«

Plemię afrykańskie zażywające tabakę. Angielski kapitan Harris w swoich awanturniczych wędrówkach po Afryce, natrafił na plemię Murzynów, które lubi namiętnie zażywać tabakę. Ci Murzyni nie używają tabakierek, ale wieszają mały worek z tabaką jakby kulczyk u ucha. Jeżli chcą zażyć tabaki, wytrząsają z woreczka na dłoń, i silnym tchem w nos ją wciągają. To zażywanie tabaki, odbywa się zwykle w towarzystwie pod cieniem drzewa, gdzie w pobożném milczeniu oddają się rozkoszy kichania, która jest tém większą, im więcéj łez z oczu wyciśnie tabaka. Nie grzecznym nazwanoby tego, ktoby się poważył przerwać im tę uciechę.

---

Redakcyja raz na zawsze oświadcza, że listów niefrankowanych przyjmować nie będzie.

---

*Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.*
*Drukiem Piotra Pillera.*